

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

LICHWIARZE WARSZAWSCY.

(Szkice z życia).

V.

Ten, to znowu innego rodzaju dobroczyńca,—to godna dusza! Jest on cokolwiek podejrzliwy i nieufny, (co zresztą leży w naturze kapitału), ale przy bliższem poznaniu, śmieje się i miewa niekiedy Szekspirowski humor.

Wchodzi się do niego bez wielkich ceremonij, bilecik którego z klientów wystarcza za rekomendację.

Najpierw trzeba zadzwonić, przyszedłszy ma się rozumieć w godzinach przyjęcia. Lekarz kieszonkowy, jak każdy lekarz, musi liczyć się z czasem. Nie otworzy zaraz. Naprzód zapyta: kto stuka i czego potrzebuje. Usłyszawszy odpowiedź, odsuwa zatrzask i uchyla drzwi, przytrzymywane przez łańcuch bezpieczeństwa. Przypatrzwszy się interesantowi, wpuszcza go do swego gabinetu.

Jest to pokój nieduży, umeblowany staroświeckimi gratami. Przed palisandrowem biurkiem, stoi ogromny, skórą wybity, fotel wolterowski, pyszny antyk, na nim leży poduszka w formie, wielkiego obwarzanka; dalej, szeroka sofa do poobiedniej drzemki i kilka krzeseł odwiecznego fasonu. Klatka z kanarkiem, doniczki geranium, firanki w oknie, kilka sztychów na ścianach dopełniają całości.

Trudno uwierzyć że się jest w gnieździe jastrzębia.

Sam gospodarz, staruszek wygolony starannie, z faworytkami białymi jak mleko, wygląda jak emeryt, lub jak pastor z prowincyi. Twarz nadzwyczaj łagodna, uśmiechnięta, przyjemna.

Powiadasz mu po co przyszedłeś i rozpoczyna się indagacja. Jak dawno jesteś w biurze? (staruszek obsługuje wyłącznie biuralistów i to tylko etatowych), ile razy przez ten czas awansowałeś? czy otrzymałeś przed nowym rokiem gratyfikację? jakie masz widoki na przyszłość? W taki sam sposób, godny staruszek, prowadzi badanie co do poręczycieli.

Gdy już skończyłeś, gdyś wyśpiewał wszystko co miałeś do wyśpiewania, staruszek zaciera ręce, uśmiecha się i mówi:

— Czy wiesz pan z kim będziesz miał do czynienia? Trzeba panu wiedzieć że ja jestem lichwiarz, najokropniejszy lichwiarz jakiego sobie można wyobrazić. Lichwiarz nad lichwiarze!

Protestujesz z oburzeniem, staruszek zaś mówi dalej.

— Mam dwie specjalności, gram na skrzypcach i je-

stem lichwiarzem. W tym i w tym fachu, skończony artysta! Nie występuję publicznie, bo czuję wstręt do wszelkich popisów, ale w moich, bliższych kołach, jestem znany jak zły grosz! Kto mnie raz słyszał ten musiał powiedzieć, oto skrzypek! Kto raz tylko pieniędzy pożyczył odemnie, ten zaklął niezawodnie całym piekłem i powiedział: oto lichwiarz! wszystkich żydów przeszedł! Tak panie!

— Szanowny pan raczy sobie żartować, nie mówię tego o artystycznej grze, lecz o...

— Ha! ha! Nie znasz mnie, panie dobrodzieju,—ale ponieważ, jak mi się zdaje, interes zrobimy, przeto dam się panu poznać niezawodnie. Sprobuj no pan nie zapłacić jednej raty, przywołam natychmiast o całą sumę i egzekwuję bez miłosierdzia. Na jednorazową zapłatę nie robię interesów; to jest głupstwo. Nie można nawet poznać człowieka z takiego rewersu. Może zapłacić wypadkiem, skutkiem zbiegu okoliczności; w karty wygra, ciotka mu umrze, gratyfikację dostanie i płaci. Ty naiwny człowiecze sądzisz że on płaci z zasady, a to jest poprostu, rzecz wypadku. Miał i zapłacił! Ciekawa rzecz coby zrobił gdyby był nie miał? Nie, panie, w takich interesach niema za trzy grosze sensu! Raty to mi rzecz! W ratach maluje się człowiek. Powiedz mi pan jak kto płaci raty, a ja panu powiem kto on jest. To rzecz stwierdzona przez doświadczenie i długoletnią praktykę. Pana też poznam na wylot; nie po pierwszej, ale po trzeciej, czwartej racie. Uprzedzam pana wszelako że jestem nieubłagany i nieugięty, a bądź co bądź, zawsze dobrze jest wiedzieć z kim się ma do czynienia.

— Nie rozumiem dla czego tak się pan łaskawy oczernia.

— To śmieszne, istotnie to śmieszne. Co pan bierzesz za oczernianie się, czy to że sam się nazywam lichwiarzem. No i cóż, alboż nie jestem nim? Dreń, ściagam z ludzi ostatnią skórę; biorę pożyczając na raty od 6 do 10 procent miesięcznie. Na raty! rozumiesz pan co to znaczy? Tak jest; biorę i nie kryję się z tem, bo niech mi kto powie w czym mianowicie tytuł lichwiarza może człowiekowi ubliżać? Byłem niegdyś urzędnikiem i pożyczałem na dużo mniejszy procent niż dziś, teraz, po wysłużeniu emeryturki, oddałem się wyłącznie lichwie. Mam się tego wstydzić? Z jakiego powodu? Czy świat mógłby istnieć bez lichwiarzy? Proszę pana! nie tacy jak moi klienci i nie takie głupie summy jak ja pożyczam — pożyczają! Kto nie pożyczka? Sułtan turecki pożyczka i dyabelne procenta płacić musi, bo cóż ma robić? Ja jestem lichwiarz, wszyscy o tem wiedzą, a przecież ludzie żyją ze mną—phi! i jacy ludzie! Anibyś się spodziewał. Przychodzą z pieniędzmi, prosząc abym je puścił w obroty. Sami się wstydzą. Osły! Ja się nie wstydzę, to też ja liczę minimum pięć miesięcznie od sta, a im daję maxi

mum półtora. Ambicya panie to droga rzecz—ja tym towarem nie handluję. Zresztą po sto djabłów! Opinia! panie, nasza opinia, to pocziwe stworzenie. Niech dziś, nie powiem ja (bo ja nie taki głupi), ale najmarniejszy żydzina lichwiarz, dorobi się milionów, a otworzy podwoje swego pałacu, pospieszą do niego matadory i tuzy. Pospieszają wszyscy z tytułami i bez tytułów, byle ich tylko na próg puszczono. Czegóż więc ja mam się wstydzić lichwy? Drę i żyję z tego, powiem więcej: drę, bo pochlebiam sobie że jestem mądry; — a kto się daje drzeć ten jest... ach! przepraszam pana, rozgadałem się za dużo. Proszę pamiętać: jestem nieubłagany, procencik albo rata, rata albo procencik! Jedynie w takim razie będziemy żyli w zgodzie, do jakiegoś czasu chociażby.

Ten jest przynajmniej otwarty.

(Dalszy ciąg nastąpi)

SZLOMA Z ROZDOŁÓW.

Przez

Wincentego hr. Łosia.

Na skrócie drogi prowadzącej do blizkiego miasteczka, we wsi Rozdołach, stała mała, drewniana karczma.

Po za karczmą ciągnęła się wieś. Naprzeciw niej, zakryty wspaniałymi kłębami drzew, stał dwór, którego kominy i wierzchołki z dachem na czerwono pomalowanym, z karczmy były widzialne.

Karczma zajmowała miejsce podrzędne wespół szynków i propinacji okolicznych; drogi bowiem krzyżujące się pod jej drzwiami były drugorzędne i prowadziły do mniej ważnych punktów.

Dwór wprawdzie był zamożny, utrzymywał liczną służbę folwarczną, wieś była dużą i ludną, wszystko to jednak nie wynagradzało korzyści płynących z dobrego położenia.

Mimo to, arendarz, znany w całej okolicy pod nazwiskiem Szłomy z Rozdołów, zajmował wybitne między żydami miejsce. Uważano go za kapitalistę i bardzo tęgą, finansową głowę.

Szloma od niepamiętnych czasów był arendarzem w Rozdołach. Dobrze mu się widać działo, choć zawsze narzekał, choć karczma przeważnie świeciła pustkami, choć życie w niej z zachodem prawie słońca gasło.

Szloma był wygodnickim, dla byle czego się nie trudił. Nieraz spóźniony chłop napróżno pukał do okna.

Szloma wyglądał przez okienko, a widząc jednego tylko biesiadnika i amatora na jakie dwa kieliszki, nie otwierał karczmy.

— Idźta do domu, nie mam wódki! — odpowiadał i zamykał lufcik.

Światło jednak w jego komorze do późna zawsze jaśniało. Choć karczma była zamknięta, w mieszkaniu żyda czuwano; Szłoma coś robił, ale co, nikt nie wiedział.

Z uderzeniem godziny dziesiątej zamykał arendarz karczmę, gasił światło w szynkowni i udawał się do przyległej izby. Był to mały pokój, zapchany różnemi, codziennego użytku przedmiotami, szafami, półkami, skrzyniami i t. p. Do tej izdebki przylegała kuchienka niska, ciasna lecz czysta, w której przesiadywała Szłomowa z dziećmi i jedną, garbatą służącą.

Ponieważ dzień był jesienny i ponury, Szłoma wcześniej jeszcze niż zwykle zamknął szczelnie karczmę i światło z szynkowni do izby przeniósł. Usiadł na ławie przy stole nakrytym białym, poplamionym obrusem. Równocześnie przybiegła żona z kuchni i zakryła okno starą, kolorową niedgys chustą, podwójnie złożoną.

Szloma mógł liczyć lat czterdzieści, nosił brodę spiczastą, był dobrego wzrostu i miał wszystkie zwykłe typu swego cechy. Nos silnie garbaty; — spojrzenie prawie wyzywające i zdradzające dużo zmysłu spostrzegawczego, odznaczało twarz niezwykle sprytem. Cechą zaś główną jego fizyognomii był pewien jej wyraz zadziwiający swoją bezczelnością, a maskowany spokojem i wiecznie dobrodusznym uśmiechem. Na twarzy tej nie było pospolitej u żydów, trawiącej ich chciwości. Owszem, ów jakiś spokój, połączony z złowrogą pewnością siebie, wiejący z tego oblicza, przestraszał.

Z twarzy sądząc, człowiek ten mógł się dopuścić wszystkiego.

A przecież Szłoma był nieposzlakowanym.

Nic brzydkiego ani złego o nim nie obiegało nigdy miasteczek ani wsi okolicznych.

Ze zwykłym też spokojem, usiadłszy na ławie, zaczął odmawiać wieczorne pacierze. Głośno i z pospiechem je szepotał, wstawał, obracał się do kąta izby, to chodził, to przystawał znowu. Żona tymczasem krzątała się około wieczery i szwargotała bezprzestannie w kuchni.

Wtem zapukał ktoś do okna.

— Idź tam, otwórz! — zawołał żyd do służącej, która zaraz wybiegła.

— To niezawodnie któryś z parobków—dodał, obracając się do żony.

Wkrótce wszedł tęgi chłop w sukmanie. Nie liczył on więcej jak lat dwadzieścia kilka; był przystojny tą pięknoscią pierwotną, która się trafia w typach ludowych.

— Szłoma!—przemówił zaraz cicho, nachylając się do ucha żyda—przyniosłem wam ćwiartkę pszenicy, zostawiłem

w którym siedziało przy zielonych stolikach kilku panów, nachylonych nad papierami, dalej trzeci, wielki, zastawiony gęsto mniejszemi biureczkami.

— Czem panu służyć mogę? — odezwał się młody, niskiego wzrostu blondyn, uczesany i wygolony starannie, podnosząc się z fotelu.

Mówiąc to, dotknął palcem główki dzwonka, a oczami przeglądał jakiś papier, leżący przed nim.

— Jestem Bolesław Orlikowski—zaczął przybyły.

Redaktor ukłonił się lekko i uśmiechnął konwencyonalnie pod małym, w dwie szpilki wykręconym wąsikiem, patrząc ciągle na ów papier, na którym robił ołówkiem różne znaki.

— Pan Orlikowski? — wyrzekł po chwili, jakby teraz dopiero gościa spostrzegł. Bardzo mi przyjemnie. Panie Wróblewski,—zwrócił się do wchodzącego zarządcy drukarni—wstępny dać garmentem, a giełdę petitem. Czy wystarczy na dziś drobnych wiadomości?

— Mam aż za wiele tych plew — odpowiedział zarządca.

— Wypchnij pan zapasy, zalewają mnie. Pan Orlikowski—mówił, jak gdyby się ze snu budził.—Czem mogę panu służyć?

Powtórnie dotknął główki dzwonka i poprawiał nową kartkę.

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Chońskiego.

(Dalszy ciąg.)

Ubrawszy się i posiliwszy śniadaniem, Bolesław wyszedł na miasto, którego jeszcze nie znał. Wsiadł do dorozki i kazał się obwieść po głównych ulicach.

Jadąc Marszałkowską, ujrzał na jednej z bram dużą tablicę z napisem: „Zwiastun Powszechny“. Przyszła mu ochota przypatrzeć się redakcyi dziennika.

— Stań! — rozkazał woźnicy. — Zaczekasz na mnie!

Wbiegł szybko po wschodach na pierwsze piętro i wszedł do przedpokoju, w którym zastał dwóch woźnych. Jeden z nich odebrał od niego palto, drugi kartę wizytową.

— Pan redaktor prosi — wyrzekł poważnie starszy sługa, wracający z gabinetu kierownika pisma.

Bolesław znalazł się w dużym pokoju, utrzymanym czysto. Biurko, stojące na środku, dwie kanapki, pociągnięte skórą, szafa na książki i kilka krzeseł stanowiły całe umeblowanie.

Przez otwarte drzwi, ujrzał Bolesław drugi pokój,

w sieni w dworskim worku, wysypcie zaraz i worek oddajcie.

— Co pilnego? albo jutro będzie za późno? — odparł żyd.

— Nie, nie!... duchem worek oddajcie, teraz nie tak, jak dawniej... pilnują!...

— Ryfke! — zawołał żyd i w kilku słowach po żydowsku jakby polecenie jej wydał, dla spełnienia którego natychmiast, z pewnem zadowoleniem, wyszła.

— No, siadajta — przemówił do chłopca — i gadajta, co słysząc we dworze?

Chłop usiadł na ławie i zapalił papierosa, którym go poczęstował sąsiad Szlomy — Mosiek.

— Co słysząc? — zaczął, puszczając kłęb dymu, z trudnością wydobyty z wilgotnego papierosa — co słysząc... Mówię wam Szloma, że tak teraz zamykają, tak człowieka śledzą i na pięty mu następują, że już trudno wytrzymać. Bywało za dawnego dziedzica, człowiek mógł i spocząć i wytchnąć i przyjść do was na kieliszek. Dziś? — oj rety! — ani, za pozwoleniem, kichnąć człowiekowi nie dadzą... Różne porządki, nowości... Jak tak dalej będą wydziwiać, to od Nowego Roku ani jeden parobek nie zostanie... nie będzie komu obrządzić chudoby, ani zaprządz do woza. A koby wytrzymał, albo to pańszczyzna, czy niewola jaka?... Służby są! oj rety!

— Gadacie... gadacie — przerwał żyd — a toć nie tak znów pilnują, kiedyście zwędzili ćwiartkę... A celna? może jaka pośledzina?

— Celna — odparł zaraz ciszej parobek — jak wybiera. Ale co ja miałem kłopotu, nim ją do was przyniosłem! — com się najadł strachu, a com się napilnował. Już trzeci dzień, jak w stercie leżała w worku... i nie było sposobu jej wynieść. Ale cóż! niechby człowieka zdybali... toćby wygnali zaraz z krową, przepadłby ogród... i prosiak... trzebaby gdzie na komorne. Mówię wam Szloma, tak ludzi wyganiają, kiejby ich w kieszeni mieli... Nie chcesz? — won! Spóźnił się, — won! Zastabł! — won!

— Aj... aj... dziwowiska — przerwał znowu żyd — a cóż z Kacprem, nie powróci? Tyle lat służył w Rozdołach...

— Gdzie tam powróci... ani chcą słyszeć, bo powiedzieli sami — ciągnął dalej parobek — było za co wyganiać człowieka, że tam sobie wziął wiązkę koniczyny dla krowy?

— No i owies zdybano w chałupie — wtrącił Szloma.

— Choćby... a cóż wielgiego — mówił dalej chłop — robi około tego, to i musi się pożywić; „gdzie rąbią tam i wiory lecą“ — mówią. Gumiennemu miałaby krowa i prosiak stać na słomie i plewie. A myślicie że stary dziedzic nie wiedział, że Kacper złodziej nad złodzieje? Sam ukradł, ale nikomu nie dał.

— Niech znajdą lepszego gumienego — odpowiedział żyd — pilnował pańskiego, a że i sam się pożywił, to i cóż? Toć kucharz jak robi, też powącha... Durnota.. wyganiać za byle co? Ho... ho... ciekawym jak długo te nowe porządki

— Przybyłem do Warszawy z zamiarem...

— Oddasz do drukarni zaraz! Czy pana Kromkowskiego jeszcze nie ma? — pytał redaktor woźnego, który wszedł na dany znak do gabinetu.

— Jeszcze nie przyszedł — odpowiedział woźny.

— Jak przyjdzie, przysłesz go do mnie. Poproś do mnie pana Bogackiego. Pan dobrodziej przybył do Warszawy z zamiarem?...

Redaktor nadstawił lewego ucha, prawem słuchał, czy się kto z drugiego pokoju nie zbliża, oczami czytał rękopis, ustami uśmiechał się blade do gościa. Istny czarodziej!

— Z zamiarem poświęcenia się dziennikarstwu — ciągnął Bolesław dalej.

Przelotnie lecz bystro spojrzął redaktor na niego. W tej chwili jednak przypomniał sobie jakiś list, dotąd zamknięty, i rozciął go kościanym nożem.

— Dziennikarstwu? — mówił, przerzucając oczami wartość pisma. — Bardzo dobrze. Czy przyniósł pan z sobą jaką pracę? Proszę ją zostawić. Zobaczmy! Mój panie Bogacki, co też pan za głupstwa wypisuje? — gromił tłustego reportera, który wszedł do gabinetu.

— Ale, panie redaktorze...

— Idź pan do dyabła z swojemi ale. Nie mam nic przeciwko temu; abys pan czasem coś sprytnego zelgał, gdy braknie ciekawego materiału, ale żeby podawać takie bzdur-

potrwają, tożby nikt w tych Rozdołach nie wytrzymał. Mnie mleko odebrali... trzymają na siebie... wielkie majątki... niech trzymają, ja nie stoję... przyjdą oni do Szlomy jeszcze prosić, aby pacht wziął.

— Herezyje... herezyje... — powtarzał parobek.

Zamilkli obaj. Szloma widocznie miał ochotę podzielić się jakąś myślą z siedzącym przed nim chłopem, lecz się wahał. Przypatrywał mu się badawczo, śledził jak doktor, twarz jego i oczy, otwierał już usta... lecz urywał i zamilkł.

— Zobaczmy... zobaczmy... — wyszeptał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA WYSPIE ZELANDYI.

Z notat podróznego

przepisał

S t. P I A S T.

(Dalszy ciąg.)

Ogólny wygląd Kopenhagi... Zapewne od tego należałoby zacząć. Ale jak zacząć? Miasto mniejsze o połowę od Warszawy, siedzi nad brzegiem głębokiego Zundu, od którego oddziela je Toldboden. Co jest Toldboden? Jestto przystań, z kąd odpływają wszystkie statki do zamorskich krajów, dokąd przyplwają wszystkie, mające do stolicy Danii jaki interes. Jestto pomost rzucony przez Kopenhagę wodzie, pomost po którym od rana do zmroku snują się tysiące ludzi, gdzie od wschodu do zachodu słońca, wszystko wre i kipi jak w garnku. Wsiadasz z okrętu, przechodzisz Toldboden i jesteś w mieście, albo wsiadasz z pociągu przechodzisz Toldboden, i jesteś... w morzu.

Ten pomost Duńskiego grodu już wygląda odmiennie od innych, a miasto do którego cię prowadzi, z żadnym z powszechnie w Europie znanych w powinowactwie podobieństwa nie jest.

Bo proszę patrzeć. Domy wysokie, więcej wąskie niż szerokie, dachy duże, spiczaste, czerwone. Coś z niemieckiego i holenderskiego zarazem, coś co pięknem nie jest, a przecież podobać się musi. Dalej place obszerne, tu i owdzie rzucony pomnik króla, ciężki i niesmaczny, kościoły szczupłe i biedne, a wszędzie woda, mosty, statki. Morze jest gdyby zakochane w tej ziemi, wciska się w nią wąskimi kanałami, miłośnie okala ją na wszystkie strony, pruje sinemi swojemi wstęgi. Te domy dziwaczne i tajemnicze, to bogactwo wód ścigających cię na każdym kroku, te statki postępujące ze wszech stron tuż, tuż za tobą, wszystk to, jeżeli jeszcze dodam do tego Ratusz z wieżycą wężem

stwa, takie kłamstwa ordynaryjne, na to trzeba być, no, już nie powiem czem. A w tej wiadomości o dorożce, co się przewróciła przed sklepem jakiegoś pana Ogórkowskiego chcesz mnie wziąć na plewy?! Ileż pan wziął za tę niesmaczną reklamę, hę?

— Ale, panie redaktorze...

Bogacki, tak butny i pewny siebie w wagonie kolei żelaznej i w teatrze, obok nowicyusza, stracił tu zupełnie „rezon“. Stał jak żak skarcony przez nauczyciela i milczał.

— Oświadczam panu po raz ostatni, — mówił redaktor „Zwiastuna“ — że nie puszczam w mojem piśmie żadnych reklam. Ruszaj pan z niemi do „Gońca“, a mnie nie próbuj podchodzić, bo ci się sztuka nie uda. Sprytniejszy jestem od ciebie, panie Bogacki.

Bogacki, który udawał, że nie widzi Bolesława, nie bronił się wcale. Schował wymówki do kieszeni i odszedł, mrużąc:

— A to złodziej... jaki sprytny.. nie można go wziąć.

— Ah, pan, pan... — mówił redaktor, zwracając się do Bolesława.

— Orlikowski.

— Prawda, pan Orlikowski, dziennikarz. Gdy pan będzie miał jaką pracę, proszę ją przynieść. Zobaczmy czy się da coś zrobić.

I usiadł, co oznaczało, że audyencya skończona.

wijącą się do góry, wszystko to nadaje miastu wygląd niezwykły, oryginalny niezmiernie, ale sympatyczny.

Gdy chodzisz po ulicach Wiednia widzisz przed sobą uśmiechniętego austriaka, z pustotą na ustach, figlem w zanadrzu, w Berlinie czujesz że jesteś u dorobkiewicza, który zebrał różnemi.. sposobami pieniądze, używa wczasu i nudzi się śmiertelnie; Drezno daje ci wygląd miasta sztuki, gdzie wszystko oddycha pięknem, karmi się harmonią; Kopenhaga, powiada ci odrazu że jesteś w pośród pocziwych mieszczan, którzy ciężką pracą dorobiwszy się majątku i znaczenia, w szlachetny sposób korzystają z owoców pracy. Jesteś tu od pierwszej chwili swojego przybycia owiany tak sympatyczną atmosferą, oddychasz od chwili gdy z pociągu wysiądziesz, tak przyjemnym powietrzem, ściskasz tak szeroko i serdecznie dłoń, patrzysz na tak poczciwe twarze, że ci się zdaje, iż jesteś u siebie w domu, że cię setki mil nie oddzielają od swoich, że ten oto młody człowiek, co ci wskazuje drogę do Muzeum Thorwaldsena, to twój dawno niewidziany kolega szkolny, a ta oto zawołowana dama co się modli cicho w kościele, to towarzyska lat dziecinnych twojej żony. Nigdzie indziej od razu wszystko cię tak nie pociąga, nigdzie indziej tak nie przyrzynuje, to też siedzisz tu i siedziałbyś bez końca — i jeżeli po za progami ojcowizny swojej, gdziekolwiek zaaklimatyzować się można, sądzę że tu zaaklimatyzowałbyś się najłatwiej. I uczucia tego nie ty jeden tu doświadczasz, nie tobie tylko tu tak dobrze i błogo, doświadczają go i ten francuz żywy, latający jak fryga, i ci filistrzy niemieccy z Bedekerem w ręku chodzący po salach Muzeum starożytności północnych i ten anglik z czerwonym parasolem, z rudemi bakombardami i długim prostym nosem. Wszyscy tu przychodzą na czas jakiś, wszyscy wzywają się w tutejsze życie i wszyscy siedzieliby tu bez końca, mimo że i domy tu brzydsze niż gdzieindziej, i ruch mniejszy, i flegmatyczniej płynące życie.

Czem się to dzieje, pytałem raz sam siebie chodząc po Toldboden i przyglądając się odpływającym okrętom, że w niedalekim Berlinie smutno ci i duszno, choć wszystko śmieje się tam dokoła, że niechętnie tam patrzysz i na te domy wielkie jak fortece i na Muzea wspaniałe jak całe miasto, a w Kopenhadze wszystko cię pociąga, choć wszystko tu tak drobne i biedne, choć nic się nie świeci od złota? Czem się to dzieje?

IV.

Muzeum Thorwaldsena jest *the greatest attraction* Kopenhagi. Istotnie, czyż północ Europy wydała większego artystę-rzeźbiarza? Czyż nie on jeden może, bez sromu, stanąć obok wielkich rzeźbiarzy włoskich, średniowiecznych i nowszych? Czyż nie on jeden unie mówić, jak nasz Matejko, mową zrozumiałą dla wszystkich, że do rozkwitu sztuki niekoniecznie potrzeba pięknego nieba Auzonów? To też Thorwaldsen jest chlubą Danii, która opiekując się nim po

Woźny wszedł, oznajmiając trzech innych interesantów.

Gdy się Bolesław znalazł na ulicy, w dorożce, potrząsł głową. Co to było? Scena z szopki, czy też rzeczywistość? Jak można myśleć porządnie w takim rejwachu? Przypomniał sobie muzykanta, grającego równocześnie na pięciu instrumentach, którego niegdys, w latach chłopięcych podziwiał.

— Jedź do redakcji „Gwiazdy“ — rozkazał woźnicy wymieniając ulicę.

W „Gwiazdzie“ doznał zupełnie innego przyjęcia. Pan Młodowski, gdy go zoczył, wybiegł z po za biurka i wyciągnął do niego obiedwie ręce.

— Brawo, doskonale! — wołał wydawca „Gwiazdy“. — Ależ pan posiadasz niepospolity talent pisarski! Co za werwa, co za dosadność wyrażań i oryginalność zwrotów! Gdzieś się pan tak pisać nauczył?

— Nie kształciłem się na pisarza — odpowiedział Bolesław, odurzony mile grzecznościami Młodowskiego.

— Więc urodziłeś się z talentem, tem lepiej, tem lepiej. Proszę, spocznij pan, może papierosika! Służę!

Pan Młodowski przysunął Bolesławowi sam krzesło i usiadł na drugim.

— Wprawdzie spodziewałem się czegoś innego, ale mniejsza o to — mówił. — Zdawało mi się, że polechce pan

macierzyńsku za życia. — po śmierci, stoi u jego mogiły, jak jeden mąż, pilnując jej i śpiewając: „niech odpoczywa w pokoju“.

O wielkości Thorwaldsena przekonani są wszyscy duńczycy i przekonanie to podziela każdy oświecony cudzoziemiec. To też ledwie ktokolwiek stanie na progu Kopenhagi, zaraz pyta o Muzeum tego, który tak wielkim blaskiem otoczył swój rodzinny.

W samem sercu Kopenhagi, na niewielkim placu, odcięty od reszty domów, stoi czworokątny budynek, z zewnątrz pokryty freskami. Freski są piękne i przedstawiają wybitniejsze sceny z życia Thorwaldsena. Jest ich kilka, a wszystkie przygotowują oko widza do tego, co ma ono zobaczyć wewnątrz. Oto Muzeum genialnego duńczyka.

Idziemy więc tam.

Ani Berlin, ani Wiedeń, ani Paryż, ani nawet Rzym, tak przecież bogaty w dzieła sztuki, nie ma nic podobnego do Muzeum Thorwaldsena w stolicy Danii — jest ono jedyne w swoim rodzaju. Wszędzie w Europie, w Muzeach narodowych, stoją rzeźby pozbierane ze wszystkich krańców świata; widzisz na nich piętna rąk różnych, a w nich owoc twórczości wielorakiej. Tu, przeciwnie, stoją dzieła wyszłe z pod jednego dłuta — płody jednej ręki i jednego geniuszu artystycznego! Nigdzie też nie jesteś w stanie ocenić należycie potęgi talentu tego lub owego mistrza, bo sąd swój o każdym z nich musisz opierać jeżeli nie na jednym to zaledwie na kilku dziełach; tu możność ta jest ci daną zupełnie, widzisz bowiem artystę całkowitego, od pieluch niemal jego twórczości artystycznej, aż do trumny, więżącej na wieki jego talent.

Dla uczących się jest tu wyborna szkoła; a nawet nie tylko dla nich. Każdy, z prawdziwym przejęciem i wzruszeniem, z korzyścią może tu badać rozwój geniuszu, przyglądać się wszystkim jego fazom, zachwycać jego błyskami, trapić zaćmieniami, — każdy słowem może przeżywać ten długi i pracowity żywot, który pozostawił po sobie w spadku tyle rzeczy podnoszących ducha i pięknych, tyle form przypominających pierwiastek Boski!

Cobym dał za to — myślałem wówczas, chodząc po tem Muzeum; cobym dał za to — myślę i teraz — gdyby wszystkie dzieła Matejki mogły być zgromadzone w jednym miejscu! Jakiż to byłby skarb dla społeczeństwa, jakaż z tego korzyść dla sztuki naszej! Ale dzieła mistrza tego, co jak meteor zabłysnął na ciemnym dotąd niebie naszej artystycznej twórczości, rozpięzły się po całym świecie, a choć rozniosły ze sobą sławę naszego imienia, przepadły przecież w pewnej części dla nas! Na fotografiach nikt smaku swego wyrabiać nie może, a jeździć do Paryża by zobaczyć Batoro i Urszulkę, do Krakowa by podziwiać Hołd Pruski, przelatywać z Warszawy, gdzie jest Skarga, do Rzymu, gdzie roztacza swe powaby Sobieski pod Wiedniem! — do prawdy, dla niewielu to dostępne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

odrobinę tego Otockiego. To pyszałek, arogant; należy mu się chłosta.

— Nie jest to już rzeczą krytyka. Sztuka jest dobra, więc uczyniłem tylko, co było obowiązkiem uczciwego recenzenta — wyrzekł Bolesław.

— O, nie mam nic przeciw tej uczciwości, owszem, chwał pan; urządzi go kto inny, gdy nadarzy się nowa sposobność. Poturbował pan oprócz tego potroszę i zasady „Gwiazdy“, która popierała dotąd kapitalizm, jako wytwór liberalizmu, ale nie szkodzi, bo, o ile uważam, zmienia postępek europejski front, posuwa się nieco w stronę lewicy, więc trzeba i nam uczynić kilka poprawek, aby nas kto nie ubiegł. Pańskie zapatrywania przyszły mi w samą porę. Artykuł zrobi wrażenie, ręczę, i zwróci na pana uwagę całej prasy. Dałem mu tylko pikantny tytuł, bo nie uwierzy pan, jak się ludzie łapią na tytuły. Honorarium podwyższam panu o grosz. Będę płacił po trzy grosze od wiersza, a jeżeli pójdiesz dalej, jak zacząłeś, możesz dojść i do pięciu. A teraz umówmy się co do dalszego współpracownictwa.

Pan Młodowski oglądał sobie przez kilka chwil paznogie u palców, spoglądając z pod czoła na Bolesława, i chrząknął kilka razy. Widocznie namyślał się, jak zacząć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

„Chodził więc po mieście—mówi jego biograf— unikając francuzów, wstydząc się prawie, gdy wtem spotkał się niespodzianie z p. Bourgoing, pierwszym sekretarzem ambasady francuskiej. Ten podszedł zaraz do dziennikarza i zapytał się go, dlaczego, skoro jest w Wiedniu, nie przychodzi, jak w przeszłym roku, do swoich przyjaciół w ambasadzie.

„Kronikarz, mocno wzruszony, odpowiedział, że w obecnych okolicznościach, nie śmiał przyjść, obawiając się przykrego przyjęcia.

— Ale przychodzi pan — odrzekł uprzejmie p. Bourgoing— dla nas jesteś zawsze przyjacielem, a uczucia nasze dla pana w niczem się nie zmieniły.

„Wtedy redaktor „Figara“ udał się do ambasady, gdzie go przyjęto z otwartymi rękoma, i gdzie odtąd mógł przychodzić codziennie i otrzymywać wiadomości o przebiegu wojny.“

Zdawałoby się, że po tym sekretarzu ambasady, który sam zaprasza żyda pruskiego, nie od niego nie żądającego, po to, aby mu udzielać wiadomości o naszych interesach, trudno już spotkać coś piramidalnieszego. Tymczasem rzecz się ma inaczej; warto się przypatrzeć powrotowi do Paryża.

Rzeczą jest niewątpliwą, że prusacy mieli służbę szpiegowską wybornie uorganizowaną, prawie równie dobrze, jak nasza za Napoleona I go, w czasach kiedy jeszcze była Francja. Ludzie, którzy ich tak dobrze informowali, musieli być wtajemniczeni w życie francuskie, mieć przystęp wszędzie. Naturalną więc wydawało się rzeczą, iż prusaków prawdziwych, tych którzy walczyli z nami otwarcie, powinniśmy byli przyjąć po rycersku i grzecznie, tak jak nas przyjmowali rosyjanie po Almie, austriacy po Solferino, a jednocześnie strzedz się tych, którzy nam okazywali przyjaźń dwójznaną.

Francuzi z epoki upadku postępowali wprost przeciwnie. Okazywali się źle wychowanymi, mrukami pełnymi złego humoru i złego gustu wobec Niemców którzy ich zwyciężyli, tak jak oni niegdyś zwyciężyli Europę, a czolgali się u nóg tych, co ich zdradzili.

Pocziwy Schnerb, zwyczajnie jako żyd, był pierwszym — jak nas naucza p. Toudouze, — który oświadczył, że Wolff jest wzorem patriotów; wszyscy poszli za jego przykładem. Spotkanie się Gondineta z Wolffem, jest jedną ze scen obyczajów bulwarowych, wskazującą wybornie poziom dzisiejszej inteligencji. I tutaj Wolff nawet zdaje się posiadać jeszcze więcej delikatności niż francuzi; pierwszy raz przyszedłszy na obiad do Brebanta, nie śmiał się pokazać. Jadł samotnie, pokrywając, w osobnym gabinecie, gdy w tem ktoś zapukał do drzwi. „To garson przyszedł mu powiedzieć, że jakiś pan, którego on nie zna, dowiedziawszy się że Albert Wolff powrócił i jest tam na obiedzie, życzy sobie z nim się zobaczyć.

„Drzwi się otwarły, i z wyciągniętymi rękami, z zalazanymi oczyma, rzucił się w objęcia Wolffa „Gondinet!“

Czyż nie klasyczna ta adoracja Wolffa, w nadziei po zyskaniu kiedyś reklamy, ze strony człowieka, który po Dumasie i Sardou jest jednym z najpierwszych tryumfatorów sceny francuskiej?

„Złe robię, że tyle kartek czernię atramentem, pisząc historię psychologiczną mojego czasu, historię, która dałaby się napisać w pięciu wyrazach: „Ten wiek jest obrzydliwie podły.“

Spółczeństwo ucieka się do ciągłego kłamstwa, żeby pokryć podłość uniwersalną. Każde niemal słowo napisane, jest obrazą prawdy. Pomiędzy tymi pisarzami, którzy co chwila mówią o patriotyzmie, niema ani jednego, któremu by przyszło na myśl zrobić to co ja zrobiłem, pójść do ministerium sprawiedliwości, żeby się upewnić czy ten prusak,

którego przyjmowali wespół siebie, przy którym otwarcie mówili o wszystkim, dotrzymał słowa: czy naturalizował się jako zwyciężony.

Otóż Wolff nigdy nie był naturalizowanym francuzem, nigdy tego nie żądał. Dekretem z d. 7 Maja 1872 „pan (le sieur) Wolff (Abraham, zwany Albertem) upoważniony został do zamieszkiwania we Francji“. To upoważnienie nadaje mu wprawdzie pewne prerogatywy, pewne prawa cywilne; może on na przykład handlować korzeniami lub literaturą, nie narażając się na wyędrzenie, ale powtarzam, naturalizowany nie był nigdy, co pozwala mu stać jedną nogą we Francji, drugą w Prusach.

I ten to prusak traktuje z góry naszą szlachtę, gdy się zdarzy jaki skandal, przemawia w imieniu sztuki narodowej, wymyśla mistrzom, którzy, z obawy „Figara“, nie śmieją tego jegomości nauczyć moresu.

Dzięki „Figarowi“ Wolff terroryzuje świat artystyczny, tak jak Eugeniusz Mayer terroryzuje świat polityczny. Taki Turquet, w przemówieniu nroczysem wymienia tego prusaka jako powagę. Widziałem malarzy, dzielnych artystów, pod którymi nogi drżały literalnie, gdy ta marionetka przesuwała się przed ich obrazami w chwili poprzedzającej otwarcie Salonu.

Czyż pisarze z „Figara“, którzy go przyjęli wespół siebie, są do niego podobni? Czyż i oni są zdolni obrzucać w swoich artykułach obelgami kogoś za to jedynie, że im się upomniał o swoje sto franków? Nie, zaprawdę. Francuszek Magnard to sceptyk, ale literat wytworny, usłużny bardzo. Saint Genest był mężnym żołnierzem zanim został dziennikarzem, który ma odwagę, rzadszą niżby kto przypuszczał, powtarzać sto razy tę samą rzecz, aby ją wyręć w lekkim umyśle swoich czytelników. Sain-Albin, to gentleman w całym tego słowa znaczeniu, który ma jedną tylko słabość, a mianowicie tę, że nie chce aby mówiono o rzeczach poważnych w „Sportie“, „to zasmuciłoby naszych czytelników“ — powiada. Baron de Platel, Leon Lavedan, Racot są to ludzie godni szacunku; znoszą Wolffa dla tego, że im go żydzi narzucili.

Gdyby jaki chrześcianin popełnił czwartą część tego co popełnił ten żyd, chrześcianie nie mieliby dość kłatw na niego; żydzi przeciwnie, popierają i bronią swego współwyznawcę.

Dla Izraela literatura Wolffa jest cennym pierwiastkiem rozkładowym.

Istne skarby spoczywają w tej literaturze. Na tle, które pozostało niemieckiem i głupowatym, strzelają race pychy żydowskiej, naiwnej w swoim cynizmie. Cóż to za zjawisko, ów Wolff, zastępujący sam w swojej osobie dawny trybunał marszałków, rozsądających najdelikatniejsze sprawy honorowe. Wysokie sfery odwołują się do niego w rzeczach drażliwych,

Nad wszystkim, czego strzeże się dotknąć człowiek dobrego towarzystwa, Wolff rozwodzi się długo i szeroko. Jeszcze nie przybito wieka na trumnie Gabryeli Gautier, a on rozpowiada już o jej pożyciu, brutalnie opisuje to o co się go nikt nie pytał, zawiadamia nas, że nieboszczka była kochanką żyda, napoły kulissyera, napoły literata, nazwiskiem: Ernest Blum. Ten Blum, który korzysta z okazji zrobienia sobie reklamy z trupa swojej przyjaciółki, oburza się w „Rappelu“ na słabości takich Henryków IV-ych albo Ludwików XIV-ych.

Ale źródłem najszcześniejszego natchnienia dla Wolffa jest Sara Bernhardt. Kronikarz „Figara“ błogosławi dziecko, błogosławi małżonka, błogosławi matkę, porównywa ją z aniołem, który rozpostarł swe skrzydła nad sztuką, opowiada nam najdrobniejsze szczegóły pożycia z Danalą. Otwiera przed nami stolik nocny, rozwiesza w oknie przesćcieradła, mrugając okiem zachwyconem a wszetecznem, na podobieństwo jednej z postaci Geroma. Gdy czytają zagranicą tę historię, wydrukowaną na trzech szpaltach pierwszej kolumny, wespół ludów, które się już dzielą naszą spuścizną, mdłości uderzają na nas. Jak mogą ludzie tacy, o jakich wspominamy wyżej, nie protestować przeciw takim brudom? jak może im nie przyjść na myśl, że dziennik ich jest prawie jedynym, z którego informują się cudzoziemcy, i że coś z tej hańby spada na nich samych?!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

Moje utrapienie. — Podwójny atak. — Publicyści i publicystki prerażeni o swoje „tajemnice życia prywatnego“. — Przykład cnoty, czyli p. Piltz w „Kraju“ i jego gromy potępienia. — Fałszerstwo, czy obowiązek nakazywany przez „pewne wyższe względy“. — Znana historia z podpisem p. Pułaskiego i apelacja p. Piltza do „korporacji dziennikarskiej“. — Spóźniona i przedwczesna. — Ojcowiska pobłażliwość „Słowa“ i tolerancja p. Prusa. — Podwójna miara dla prostej uczciwości. — Chybiona kombinacja.

A to utrapienie prawdziwe! Już miałem stłumić w sobie wszelki animusz wojowniczy, miałem być potulnym, cichym i niewinnym jak dziecię, miałem wam mówić o powodziach, przerwach komunikacji i o różnych innych „sprawach bieżących“, gdy wtem, zaatakowany z różnych stron, znowu bronić, znów opędzać się muszę. Atakują mnie z jednej strony publicyści i publicystki, zaniepokojeni o „tajemnice“ swojego „życia prywatnego“, z drugiej uderza na naszą biedną „Rolę“ petersburski „Kraj“.

A to co znowu za barbaryzm! — wołają zgorzeleni stróża i opiekunowie „dobra publicznego“. Więc nam nie wolno mieć swoich „tajemnic“? — więc ma być komuś wolno wywłóczyć i rozbierać nasze sprawy i stosunki prywatne? Horrendum! Ależ, mili panowie i panie, uspokójcie się. Ja tylko stawałem, ot tak sobie, przykładu, a tymczasem słyszę zewsząd brzęk... nożyc. Charakterystyczne to i pouczające, a zresztą, o cóż tutaj iść może? Niech jeno to nietykalne jakoby życie wasze będzie tak budujące, jak budującymi, acz nie zawsze, bywają wasze słowa i nauki publiczne, a żadna „kontrola“, żadne „podpatrywanie“, żadne „plotkarstwo“, żadne „tropicielstwo“ prerażać was nie będzie.

Chcecie jeszcze „przykładu“ — służę wam najchętniej. Patrzcie, oto na czele organu „poważnego“ stoi pan Piltz, mąż tak czysty i takiej cnoty pełen, że może on śmiało mieć dla innych „pogardę“. Wprawdzie, miał on chwile, w których ta jego nieskazana cnota bywała nieco przyćmiona; bywał tak dziwny zbieg okoliczności, że pan Piltz uważał za właściwe zniknąć z Warszawy, a wypływać gdzieindziej, ale to stare dzieje! Ktoby o nich wspominał, ktoby je pamiętał! Byłyby to zresztą „niecne oszczerstwa“, „niegodzime insynuacje“ — a opinia nasza tak dobra, tak szybko zapomina! Ja sam zresztą, kiedy nie tak dawno pan Świętochowski nazwał p. Piltza publicznie w swojej *Prawdzie* „oszustem“, i kiedy pan Piltz uformował z tego powodu głośną naówczas „sprawę honorową“, oburzyłem się wielce na to „zajście“ niemiłe, mogące nadwreżyć powagę kierownika „Kraju“. Nie nadwreżyło jej jednak, i nic w tem dziwnego. Prawdziwe złoto nie czernieje nigdy, a brylant pozostanie zawsze brylantem, choćby ktoś chciał najgwałtowniej wmówić że to kamień zwyczajny. I dziś tedy, nieskazony pan Piltz, stojąc na wysokości swojego przedsięwzięcia przezwanego „Krajem“, może wołać śmiało: pi, pi, co mi tam jakaś *Rola*! „*Rola*“, to „jeden z organów rewolweryjnych (!) naszej prasy“, to „jeden ze skandalicznych wyjątków w naszej literaturze peryodycznej“. I za cóż to pełen cnoty i powagi mąż z „Kraju“ rzucił na „Rolę“ taki grom potępienia? Ano, bo ten organ wsteczny nie jest w stanie podnieść się do wysokości pojęć pana Piltza, ani objąć... szerokości jego etyki, nie dla każdego... jeszcze śmiertelnika dostępnej.

Bo jakbyście nazwali podpisanie cudzego nazwiska bez wiedzy i woli jego posiadacza? Fałszerstwem — ano i nam się tak zdawało — tymczasem jest to nie fałszerstwo, ale obowiązek, nakazywany przez „pewne względy wyższe“ i nadający nawet podpisującemu tytuł do wdzięczności!

Naiwni poczciwcy megliby rozumować w sens taki: Czy p. Piltz podpisał cudze nazwisko? Tak. A czy prosił uprzednio o pozwolenie? Nie. Ano, to rzecz skończona; niech tylko pan Piltz podziękuje podpisanemu za to, że poprzestał na wystąpieniu w dziennikach, nie odwołując się wcale do prokuratora. Tymczasem, według pojęć etycznych pana Piltza, byłoby to rozumowanie najzupełniej fałszywe. Pan Piltz spełnił jedynie akt dziennikarskiego obowiązku, a pisma (sześć ich jest tylko!), które obowiązku tego ocenić nie umieją, zasługują, według tejsze samej etyki p. Piltza, na „najwyższą pogardę“!

Nie będę zresztą powtarzał historii z podpisem pana Pułaskiego, boć ona dostatecznie jest znana. „Kraj“ pomieszcza odezwę i podpisuje ją nazwiskiem człowieka, który ani myślał jej pisać i posyłać do „Kraju“. Interesowany protestuje przeciwko temu nadużyciu, a „Kraj“ w zamian, w pełnym arogancyi, rzekomem „objaśnieniu“ swoim, niemal że lży

pokrzywdzonego. Kilka pism, nawet różnej barwy, widząc to zachowanie się pana Piltza, karci je, — karci ten skandal niebywały dotychczas w prasie polskiej, a p. Piltz, w odpowiedzi, rzuca znowu obelgi, wołając: to „pisma rewolweryjne“, to „skandaliczne wyjątki w naszej literaturze peryodycznej“. I idzie p. Piltz w tej... śmiałości swojej na przebój, i odwołuje się w dodatku do „korporacji dziennikarskiej“, o potępienie tych, którzy zwyczajnie samowolnego podpisywania cudzych nazwisk aprobować nie chcą.

Wątpię jednak, czy szczęście zechce i w tym wypadku sprzyjać p. Piltzowi; apelacja bowiem jego do „korporacji dziennikarskiej“ wydaje mi się i spóźnioną i przedwczesną razem. Jest spóźnioną, gdyż nie mamy już w korporacji tej ani p. Rembertowskiego, ani p. Kiersza, a oni chyba jedni byliby zdolni pochwalić bohaterstwo w tej sprawie redaktora „Kraju“, ganiąc równocześnie protesty jego przeciwników. Jest wszakże apelacja ta i przedwczesną także, bo, pomimo nawet złydzienia naszej prasy, nie upadła ona jeszcze tak nisko, iżby nie umiała odróżnić wystąpień ratujących jej cześć, od postępków rzeczywiście rewolweryjnych, przynoszących jej wstyd.

Nie wiem tedy co zrobi i jak nas ukarze „korporacja“, ale wiem już w tej chwili, co zrobiło „Słowo“ i — pan Prus. Nie pochwalili oni wprawdzie ostatniego popisu pana Piltza, ale uznali go za zasługujący na większą pobłażliwość i tolerancję! „Słowo“ zwłaszcza dowiodło, po raz nie wiem już który, swojej konsekwencji... Pomieściwszy po dwakroć, bez komentarzy, protest pokrzywdzonego właściciela nazwiska, oświadczyło następnie, iż, wobec zakomunikowanych mu w drodze prywatnej dowodów (?), redakcja „Kraju“ „działała z pobudek poważnych, w dobrej wierze i z dobrą intencją“. No, no, i ktoby to pomyślał, że według, nie pogańskiej przecież, ale chrześcijańskiej etyki „Słowa“, mogą być „pobudki“ tak „poważne“, któreby pozwalały skrzywdzić kogoś, przez nadużycie jego nazwiska, i obrażać jeszcze pokrzywdzonego?

Jeżeli jednak zaciekawia mnie ta, więcej niż ojcowiska pobłażliwość „Słowa“, to nie dziwię się znowu p. Prusowi. On nie winien temu, że los wlewa niekiedy istotny talent w głowy, w których brakuje jednej marnej rzeczy: zdrowego sensu. Co wy chcecie — prawi pan Prus — od „Kraju“, od tego pana Piltza? Podpisał, powiadacie, cudze nazwisko, ale to wcale nie jest nic tak strasznego. Toć i ja podpiszę sobie w tej chwili w kronice mej Rotszylda, Boulangerera i t. d., a czyż to będzie sfałszowaniem podpisu? I cieszy się p. Prus ze swojego naiwnego konceptu i gorszy go to, że znaleźli się ludzie, którzy czynu pana Piltza nazwali, ot poprostu, „fałszerstwem“. Toż to zgroza! — jak można pewną nieścisłość dziennikarską nazywać aż tak brzydkim imieniem!

Aha, jestem w domu. W tym wieku przedewszystkiem form, udawania i fałszu, pierwszym artykułem wiary powinno być: nie nazywaj rzeczy i ludzi po imieniu. Należy więc mówić:

Nie oszust, dajmy na to, ale człowiek... niezręczny.

Nie fałszerz, ale dżentelmen nie dość skrupulatny przy korzystaniu z cudzych podpisów.

Nie łajdak, ale wolnomysłny zwolennik „związków nielegalnych“ — etc. etc.

Gdy więc p. Pułaski zawołał w swym proteście: w co się teraz obróci godność i powaga drukowanego słowa!? — nie należało się oburzać z nim razem, lecz wytłumaczyć mu raczej, że to tylko „pewna nieścisłość redaktorska“ i — basta.

Bądź co bądź, sądzę, że i pan Piltz i jego przyjaciele przeliczą się tym razem. Przyjaciele, obrońcy przyzwoitości nie zakrzyczą „gburów“, w nieokrzesanym przekonaniu których — zasada uczciwości nie może mieć dwóch miar: nie może być inną dla śmiertelników przeciętnych, podpisujących cudzym nazwiskiem dokumenty prywatne, a inną dla redaktorów, przyozdabiających, bodajby dla reklamy tylko, także w cudze nazwiska odezwy publiczne. Pan Piltz zaś może się również mylić, mniemając, że gdy wołać będzie: trzymaj! — sam uciec zdoła; że znowu wzniesie on się na piedestał „znanego publicysty“ i że znów wolno mu będzie lżyć ludzi, którym moralnie do pięt nie dorasta. Nie, nie, kochany panie! — i takie kombinacje nie zawsze się udają.

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Dramat Sary Bernhardt, jego treść i sens moralny. — Bezimienna ofiara 100,000 fr. na jedną z nagród wystawy powszechnej. Jej rozdział. — Ostatnia bezecna moda paryżka. — Z czyjej wyszła głowy. — Jej znaczenie. — Klub kobiecy w Paryżu. — Co się stanie z dalecami? — Bal nad balami, wydany w Paryżu przez Mackaya. — Kto takie bale dawać może?... — Boulanger górą. — Wybory po departamentach. — Warunek stawiany kandydatom. — Krucho położenie nowego gabinetu. — Niegrzeczność „Debatów” — Frykcyje berlińskie. — Cesarzowa Wiktorya. — Małżeństwo z Battenbergiem. — Głębsze racje.

Najnowszą nowością paryżką, której rozgłosu ani agitacje Boulangera, ani upadek gabinetu Tirarda zagłuszyć nie mogły, jest jednoaktowy dramat Sary Bernhardt, świętynie odegrany w Odeonie. Wiadomo że Sara poluje na wszechstronność; nie poprzestając na artyzmie scenicznym, maluje, rzeźbi, hoduje dzikie zwierzęta, a chcąc udowodnić wszechgenialność swojej rasy, jęła się wreszcie i pióra.

Jaki pan taki kram; jaka autorka taki dramat: jego sens moralny jest wymowną ilustracją zupełnego braku zmysłu moralności u jego twórczyni.

Rzecz rozgrywa się u łóża śmiertelnie chorego chłopczyka. Z pomiędzy licznych lekarzy, jeden tylko, wezwany na ostatku pomógł mu nieco. Jest to synowiec generała (ojca pacjenta), który pielęgnuje chorego jak własne dziecko. Generał pyta się żony, dla czego tak długo opierała się jego wezwaniu; ona odpowiada, że raził ją w doktorze zupełny brak uczuć religijnych, że jednak teraz zgadza się na wszystko, zaklina tylko męża, aby po wyzdrowieniu dziecka porzucił służbę i zakopał się wraz z nią i synem w odludnym zamku Rochebrun. Ta zagadkowa żądza samotności tłumaczy się niebawem. Po odejściu generała, siostra miłosierdzia daje znać hrabinie (generałowa jest zarazem hrabiną) że dziecku znów gorzej. Wtedy hrabina biegnie do kołyski, pada na kolana i w głośnej tyradzie błaga Boga aby ocalił jej synka a zabrał ją raczej, ją grzesznicę, która zdeptała cnotę i honor i przenievierzyła się najzaciejszemu, najszlachetniejszemu mężowi. Tę tyradę podsłuchuje generał. Wtem puka doktor; hrabina zrywa się, żeby mu otworzyć, ale wstrzymuje ją mąż, nakazując, aby wprzód powiedziała mu nazwisko złodzieja jego honoru. Ona opiera się, ale w końcu, w obawie o dziecko, woła: „Otwórz mu, to on!” Generał wpuszcza doktora, który wprost idzie do pokoju chorego, a tymczasem hrabina zeznaje, że nieszczęście stało się podczas kilkumiesięcznego pobytu męża w Algierze. Doktor wraca. Generał, z rewolwerem w rękę, walczy z sobą chwilę; jemu umierający brat zlecił opiekę nad synowcem, on go zabić nie może i — kładzie rewolwer na stole, dając doktorowi do zrozumienia, że sam sobie w łeb palnąć powinien. Doktor tę niemią mowę zrozumiał. Chwyta za rewolwer; wtem wpada hrabina z krzykiem: „Dziecko umarło!” No, i... sto w zakład przeciw jednemu, że nikt z szanownych czytelników, przy zdrowych zmysłach będących i jakiegokolwiek nocy moralne mających, nie zgadnie rozwiązania... I — generał rzuca się w objęcia synowca, wołając: „On to przeczul! on umarł dla nas!”

A co? jak to pięknie! Dziecko z kazirodztwa spółdzone umiera, więc kazirodztwo uważa się za niebyłe. Znako-mita moralność! Trochę w gorszym gatunku niż ta która pozwala kraść, byle nikt nie widział, ale zawsze moralność *sui generis*, moralność Sary Bernhardt i spółki. Na chlube Paryża powiedzieć trzeba, że sztuka, lubo robi kasę jako *curiosum*, nie zyskała wcale powodzenia.

Bez względu na polityczne losy, jakie Francję w bliższej lub dalszej przyszłości czekają, ten Paryż na długo jeszcze pozostanie rodzajem pandemonium, z którego wielkie dobre i wielkie złe na świat rozchodzić się będzie. Długo jeszcze wynurzać się z niego będą tacy ludzie, jak ów bezimienny, który świeżo przesłał do ministerium handlu 100,000 franków, przeznaczonych na nagrodę dla twórcy przedmiotu, wyróżniającego się ponad wszystkie inne nadesłane na przyszłą wystawę powszechną w Paryżu. Do przyznania tej nagrody ma być osobny areopag. Nagroda ma być rozdzielona na dwie połowy, z których jedna przypadnie wystawcy, druga jego pomocnikom i robotnikom. Podział słuszny może, jeżeli będzie chodziło o wyrób fabryczny lub warsztatowy; niesprawiedliwy, gdyby szło o dzieło sztuki. Za coby naprzykład wzięli 50,000 fr. kamieniarze, którzy z polecenia i według wskazówek mistrza obciosywali z grubsza bryłę marmuru?...

Atoli, jakby lękając się, żeby go o zbytek cnoty nie posądzono, ten sam Paryż, jednocześnie z czynem tak szlachetnym a bezinteresownym, wydał bezceństwo, na które

wzdrygnąć się musi wszystko, co jest jeszcze uczciwego w ludzkiej naturze: powstała tam moda malowania twarzy-czek dzieci. Pomysł ten ohydny wyszedł naturalnie z głów bezsumiennych weteranek piękności, które konieczność odświeżania pędzlem swych wdzięków, ogólnym zwyczajem malowania się pokryć chciały. Bezcelne, nie pomyślały o tem, że pierwsze dotknięcie różem lub blanszem dziecięcej twarzy-czki ścięra nie tylko z liców ale z duszy ten puch niewinności i dziewiczości, którego nic już potem przywrócić nie jest w stanie, a w którego jak najdłuższem zachowaniu, leży moralna przyszłość człowieka. Jest to moralna rzeź niewiniątek, tem okropniejsza, że przez rodzone matki dokonywana. Czyż można coś ohydniejszego pomyśleć?...

Tej krzywdy, jaką wymysleniem tej mody wyrządziły płci swojej paryżanki, nie zdołają wynagrodzić utworzeniem klubu damskiego, do którego naturalnie przystęp będą miały tylko kobiety — i to kobiety nieposzlakowanej cnoty i nienaganej przeszłości. Ciekawa rzecz, kto kandydatkom do klubu będzie wydawał świadectwa konduity, i czy malowanie dzieci będzie należało do przeszkód czy do kwalifikacji przy ubieganiu się o godność członkini. Klub ma być otwarty tylko w ciągu dnia, to jest w czasie gdy mężowie oddają się swoim zatrudnieniom... Ależ, na miłość Bożką, cóż się z dziećmi dziać będzie po całych dniach?... Czy wraz z matkami będą w klubie w karty i w bilard grywały?...

Przeznaczeniem widać tej mojej kroniki było, żeby zaczęła się i skończyła w Paryżu, nie wychodząc nawet po za jego rogatki; potraciwszy bowiem raz o to miasteczko, trudno pominąć jeden z ważniejszych w jego własnej kronice ewenementów, a mianowicie bal, który przepychem swoim przeszedł nie tylko wszystko co widzieli kiedykolwiek, ale o czem marzyli paryżanie. Tego szyku zadał im amerykańnik, znany milioner Mackay. Nie wiemy czy na tym balu pani Mackay wystąpiła w płaszczu z piór ptaków rajskich, na których upolowanie w pożądaney ilości wysłała swoim kosztem kilku myśliwych do Nowej Gwinei; to pewna, że samo przerobienie, w przeciągu kilku zaledwie nocy, ogrodu zimowego w przepyszną salę balową, kosztowało 500,000 franków, że na tym balu można się było objeść samemi świeżemi poziomkami, i że gościom rozdano tyle klejnotów na pamiątkę, iż za rycie na nich cyfr gospodarza i herbów amerykańskich, grawer sam wziął 150,000 franków!... Czołem, panie Mackay! Na takie szalone zbytki ważyć się może ten tylko, komu ślepa i, z przeproszeniem, głupia Fortuna, bez pracy i bez zasługi, bądź własnej, bądź poprzednich pokoleń, rzuciła w kieszeń miliony. Człowiek pracy, człowiek tradycyi, zresztą człowiek rozsądku i serca wiedziałby o tem, że marnotrawstwo takie, wobec okropnych cierpień, klęsk i niedostatków ludzkości, jest ohydą, jeżeli nie grzechem śmiertelnym...

I polityczny interes, z wyjątkiem nowej fazy *frykcyj* kanclerskich w Berlinie, skupia się obecnie w Paryżu, gdzie akcje Boulangera z każdym dniem idą w górę. Wszędzie niemal, gdzie tylko odbywają się wybory, on wychodzi z urny wyborczej, chociaż się wyprasza, życząc sobie tylko w dep. Nord wyboru. Inni kandydaci uzyskują mandaty tylko pod warunkiem, że się w Izbie będą dopominali o przywrócenie Boulangera na listę armii. Dziękując wyborcom w dep. Dordogne, Boulanger nie bez racji oświadczył, że ich wybór stwierdza jego program, to jest rozwiązanie izby i rewizję konstytucyi.

Nowy gabinet Floqueta niema szczęścia ani przyszłości przed sobą; wszystkie niemal frakcje republikańskie, z wyjątkiem pewnej grupy radykalistów, są przeciw niemu. Takie umiarkowane i powściągliwe zwykle „Debaty“, a nazywają poprostu Floqueta i Freycineta głupcami.

Frykcyje kanclerskie w Berlinie nie są nowością; bywały one i dawniej, za życia cesarza Wilhelma. Ilekroć kanclerz chciał złamać opozycję, jaką mu w sferach najwyższych stawiano, groził dymisją i — zawsze zwyciężał. Sam też przejścia te nazwał *frykcyami*. Dzisiejsze atoli frykcyje mają poważniejszy charakter. Cesarzowa Wiktorya, która nigdy do wielbicieli kanclerza nie należała, i we wszystkich dawniejszych frykcyjach przy boku cesarzowej Augusty udział brała, jest kobietą energiczną, a jako cesarzowa groźniejszą niż dawniej przeciwniczką. Tym razem miało pójść o dawno układane i upragnione przez cesarzową małżeństwo najstarszej córki, księżniczki Wiktoryi z księciem Aleksandrem Battenbergiem, przeciw któremu kanclerz ze względów niby politycznych, protestuje, grożąc dymisją. Ani cesarzowa, ani on ustąpić nie chcą. Słusznym atoli wydaje się domysł, że małżeństwo z Battenbergiem jest tylko pozorem, zewnętrzną niejako formą scyssyi między kanclerzem a sferami najwyższymi, podczas

gdy prawdziwe jej powody daleko głębiej sięgają. Naturalną bowiem wydaje się być rzeczą, że pod panowaniem monarchy, który w manifestie do narodu poszanowanie praw na pierwszym postawił miejscu, nie może czuć się swobodnym, a nawet nie może być kierownikiem polityki, który rzucił w świat polityczny straszny paradoks: „siła przed prawem!“ i paradoks ten żelazną ręką wciąż wprowadzał w wykonanie...

E. Jerzyna.

Z listów do „Roli“.

Z Warszawy. „Szanowny Redaktorze! Żądacie wiadomości odnoszących się do sklepów polskich — więc staję i ja do apelu. Wiadomość jaką podaję poniżej jest nieco odmienniejszą od tych, jakie dotąd czytałam w piśmie Waszem, — mniemam jednak że mimo to jest ona nie mniej od tamtych interesującą i narówni z nimi zasługuje na bliższą uwagę. Zresztą osądźcie sami. Powodując się zasadą popierania słabych, nie kupuję nic u żydów; a że jest mi z tem dobrze, chciałam więc odciągnąć od nich i moje służące. Aby tedy co rychlej chęć w czyn wprowadzić postanowiłam przede wszystkim udać się do któregoś z polskich sklepów bliższych po próbkę tanich a dobrych towarów, aby przy ich pomocy przekonać sługi moje o korzyściach jakie osiągną z zerwania z żydami. I udałam się na ulicę Niecałą do sklepu pana F., oświadczając mój zamiar i prosząc o one próbki. Proszę więc wyobrazić sobie moje zdumienie, gdym usłyszała w odpowiedzi słowa: „co mnie tam po służących!“ Wysłałam — zawiedziona. A szkoda, boć przecie faktem jest że żydzi starają się właśnie przyciągać ku sobie klasy najbiedniejsze i że na nich zyskują najwięcej.

Nie wiem o ile inni kupcy polscy kierują podobnie dziwną metodą, z tego jednakże co widzę, mogę wnosić, że postępujących odmiennie jest między nimi niewielu. A szkoda — powtarzam — bo, pomijając już inne, mniej zamożne, warstwy ludności Warszawy, samych sług żyje w niej i ubiera się około 20,000! Toć to klientela nielada — a lekceważenie jej czyż nie jest błędem ze strony kupiectwa polskiego?

Czytelniczka.

Przypisek Redakcyi. Podzielając zapatrywania wyrażone w liście powyższym, pomieszczamy go chętnie, spodziewając się, że zwróci on uwagę naszych kupców na niewłaściwość ich postępowania względem klas mniej zamożnych i biednych. A pragnąc sprawę tę wysświetlić bliżej, pomówimy o niej jeszcze, na innym miejscu, obszerniej.

Z Siedleckiego. „Przy głównym, Brzesko-Litewskim, trakcie, w jednym z większych majątków, nieopodal od wsi Z..., leży folwark w którym mieszka niewiele bo tylko kilkadziesiąt rodzin żydowskich, czyli razem około dwustu kilkunastu głów! Mają oni swą szkołę, bóżnicę, no i kilkanaście kramów, między którymi, naturalnie, najwięcej szynków.

Co i jak oni sprzedają, jak prowadzą swój ów t. z. handel, o tem mówić nie będę, bo nie powiedziałbym nic nad to, co powiedzieli o innych żydach inni korespondenci Wasi. Muszę natomiast donieść, iż obecny właściciel onego majątku w którym ci nasi „bracia mojżeszowi“ tak szczęśliwie się rozmnożyli powziął zamiar „zrobić im konkurencyę“ przez założenie, obok ich kramów, kilku sklepów chrześcijańskich. Zamach ten na „wolność pracy“ (!) żydowskiej wywoła, bez wątpienia, niemało lamentów, bo już dziś objawiają się one dość wyraźnie. Ano trudno, panowie żydzi, — „bliższa koszuła ciała niż sukmana“, nie więc nie pozostaje, jak tylko życzyć, aby ten piękny projekt jaknajprędzej został doprowadzony do skutku.

Byłoby również do życzenia, aby w Siedlcach, mieście gubernialnem, mógł zostać otwartym jakiś uczciwy kantor czy „dom“, z celem przeciwdziałania praktykom osławionych lichwiarzy siedleckich, a wpłynęłoby to niezawodnie i na powstanie w Siedlcach większej ilości sklepów polskich, bo dziś jest ich tam zaledwie kilka.

Ale wracając do miejscowości wymienionej na początku tego listu, mam jeszcze do zanotowania jedno spostrzeżenie: Wznosi się tam nowy kościół; otóż Dozór kościelny, złożony z miejscowego wójta i obywateli okolicznych do pokrycia blachą dachu tej świątyni powołał majstrów... żydowskich! Czyżby zabrakło blacharzy — chrześcijan? Wiadomą, co prawda, jest rzeczą że blacharstwo nasze prawie że zmonopolizowanem zostało przez żydów, ależ na obsługę przynajmniej kościołów wystarczyłoby nam jeszcze chrześcijan.

Toporczyk.

Z okolic Szydłowca. „Szanowny Redaktorze! W Nrze 11-tym „Roli“ pomieściliście pytanie: gdzie mogą być potrzebne sklepy polskie? Donoszę zatem, jako oddawna mieszkający w okolicy miasta Szydłowca, położonego, jak wiadomo, na trakcie szosowym między Radomiem a Kielcami, w okolicy fabrycznej i posiadającej kamieniołomy, — że to miasto, od lat 12-stu przeszło, pozbawionem jest sklepu polskiego. Przed tym czasem sklep taki utrzymywał i prowadził tam porządnie i energicznie niejaki, dziś już nie żyjący, Karol Jopkiewicz. Można było u niego dostać, od igły i nitki do wina i t. d., wszystkich artykułów potrzeb codziennych. Powodzenie jakim cieszył się ów sklep nawet wówczas, przed laty, utwierdza mnie w przekonaniu, że dziś tembardziej, gdyby znalazł się ktoś, coby obok uczciwości miał i poprowadzić tu podobne przedsiębiorstwo — i samby zyskał i nam, mieszkańcom okolicznym, przysłużył się niepomniernie. Co prawda, po śmierci onego pierwszego właściciela, objęli po nim sklep sukcesorowie, i upadł on wkrótce, ale upadł w części z powodu ich nieznanomości rzeczy, a w części z powodu pogorzeli miasta w roku 1876. Ktoby więc z odpowiednio uzdolnionych w zawodzie kupieckim chrześcijan chciał otworzyć sklep w Szydłowcu, temu chętnie służyć mogę bliższymi (w czem Red. „Roli“ z przyjemnością pośredniczyć będzie — *przypis. red.*) objaśnieniami.

Z poważaniem

A. B.

Z Suwałk. „Odczytawszy z przyjemnością, w Nrze 11-tym „Roli“ art. p. t.: „Sklepy polskie“, spieszę zakomunikować Szanownemu Panu, że i w Suwałkach zbywa też na takich sklepach. Naprzykład niema tu ani jednego, chrześcijańskiego handlu win i towarów kolonialnych, natomiast są dwa żydowskie. Hotele również wszystkie są w rękach żydów, choć niektóre z nich mieszczą się w domach będących własnością chrześcijan.

Wstyd, doprawdy, że Suwałki — miasto gubernialne, posiadające sąd okręgowy, gimnazya żeńskie i męzkie, oraz wiele innych biur i instytucyj, nie może się zdobyć na porządny hotel, handel win lub bodaj restauracyę. Jest tu utrzymywana przez chrześcijanina cukiernia w połączeniu z restauracyą, ale ma ona to do siebie, że wielu woli nieraz przymrzeć głodu, niż w niej się posilić.

Oprócz Suwałk, niema też polskich handlowi win, hotelów i restauracyj w Sejnach, Augustowie, w Kalwaryi, Wołkowyszkach, Władysławowie — a wszędzie, we wszystkich tych miejscowościach, mogłyby one istnieć i cieszyć się powodzeniem.

Rzecz prosta, że uczciwość i znajomość rzeczy są w tym razie niezbędne, lecz iluż to ludzi uczciwych i zdolnych, woli, jak to mówią, biedę klepać w miejscu do którego przywykli, aniżeli ruszyć się i poszukać czegoś lepszego! W ten sposób trafiają się miasta, w których są dwa, trzy jednakowe sklepy, podczas gdy miejscowe warunki są takie że i jeden wystarczy, a w innych, gdzie właśnie kilka sklepów mogłoby się utrzymać — niema ani jednego. Miejmy przecie nadzieję że to się odmieni na lepsze, że znajdą się ludzie dobrej woli i szczerzej chęci pomagania ogółowi do wydzwignięcia się z niewoli izraelskiej. Dla takich to ludzi skreśliłem te słowa parę i spodziewam się że nie zawiedzie mnie nadzieja otrzymania od Szanownego Pana wiadomości iż znalazł się ktoś, kto pragnie pójść za moimi wskazówkami. W takim razie oświadczam się z gotowością dania wszelkich możliwych objaśnień i, prosząc Szanownego Pana o łaskawe ułatwienie mi, jeżeli się to stanie, poznania pragnących bliższych informacji (owszem — *przyp. red.*) — pozostaję i t. d.

F. S.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Targi w czasie zjazdów ziemian. Kilku obywateli z Kaliskiego, korzystając z licznego zjazdu ziemian do Kalisza, podczas zbliżających się wyborów do władz Towarzystwa Kredyt. Ziemińskiego, postanowiło, za pozwoleniem właściwej władzy, urządzić w tymże czasie, w m. Kaliszu, targ dwudniowy na konie, owce, bydło i trzodę, oraz na maszyny i narzędzia rolnicze.

Myśl urzędzenia podobnego targu, podczas zjazdu ziemian w Piotrkowie, podnosi pismo miejscowe.

Wywóz niektórych produktów gospodarstwa wiejskiego za granicę zwiększa się corocznie. Tak naprzykład, w roku zeszłym 1887 tylko po dzień 1 Września wywieziono przez granice Królestwa Polskiego 424 miliony sztuk jaj, za sumę 6,700,000 rubli,

czyli że, w porównaniu z rokiem poprzednim 1886, wywóz zwiększył się blisko o 100 milionów sztuk, co czyni $1\frac{1}{2}$ miliona rubli. Głównie wywożono jaja do Austro-Węgier, do Niemiec, Anglii i Belgii. Punkt główny wywozu stanowi Warszawa.

Pożyczki na wełnę. Główny Zarząd petersburskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wystąpił do ministerium skarbu z projektem, aby Bank państwa oraz jego Oddziały wydawały pożyczki na zastaw wełny, do wysokości $\frac{1}{2}$ jej wartości. Termin pożyczek takich byłby 10 cio miesięczny, a głównym celem projektu jest ułatwienie fabrykantom miejscowym nabywania zapasów wełny, wysyłanych przeważnie zagranicę.

Akt darowizny. W Płocku, jak donosi organ miejscowy, w tamtejszym wydziale hipotecznym, złożonym został akt, mieszczący w sobie następujące darowizny, stanowiące uczynione przez spadkobierców ś. p. Józefa z Rutkowskich Sierakowskiej — p. Potrykowską i p. p. Lipskich: a) dla Towarzystwa dobroczynności w Płocku rs. 5,000 i b) tyleż dla Towarzystwa dobroczynności w Warszawie, na założenie kas pożyczkowych dla rzemieślników, na wzór już istniejących; c) na budowę warsztatów rzemieślniczych w Warszawie rs. 20,000, mające być wypłaconemi na ręce p. d-ra Ludwika Natansona (?); d) dla kasy Mianowskiego rs. 6,600; e) dla warszawskiego szpitala dla dzieci rs. 6,000; f) dla warszawskiego instytutu głuchoniemych i ociemniałych rs. 5,000; g) dla schronienia paralityków w Warszawie rs. 5,000; h) dla domu przytułku biednych wychodzących ze szpitali w Warszawie rs. 5,000.

W sprawie resursy rzemieślniczej otrzymujemy list następujący:

„Szanowny Redaktorze! Po przeczytaniu w Nr-ze 14-tym „Roli“ artykułu p. t. „Resursa rzemieślnicza“, przyszło mi na myśl starodawne przysłowie, o „niezasłużonych ale szczęśliwych“.

„Pochlebia mi to bardzo, że do tak ucziwej sprawy i ja, choć w części, rękę przyłożyć mogę. — nie daje mi to jednakże jeszcze prawa do przyznawania sobie zasług, które tak mnie, jak i reszcie współdziałających ze mną przypaść powinny.

„Pierwsza myśl wskreszenia starań o założenie resursy wyszła tym razem z grona towarzyszków (czeladników p. r.), i im to, nie zaś mnie, należy się słowo uznania.

„Przytem czuję się w miłym obowiązku wyjaśnić, że obecnie już szerszy ogół rękodzielników interesuje się sprawą resursy, a nad przygotowaniem projektu ustawy pracuje osobne ich kółko, złożone z p. p. majstrów i towarzyszków do tego powołanych.

„Racz przeto, Szanowny Redaktorze, pomieścić wyjaśnienie niniejsze i przyjąć etc.

J. Wenda
majster stolarski.

Sklepy polskie. Donoszą nam z Brzezina (gub. Piotrkowska), iż dzięki zabiegom ludzi dobrej woli, otwartym tam został sklep spółki spożywczej, ustawa której uzyskała już przed kilkoma miesiącami właściwe zatwierdzenie. Zawiadywanie interesami przedsiębiorstwa włożonym zostało na wybrany w tym celu zarząd spółki, złożony z trzech członków, a mianowicie: p. p. Krzemienińskiego, Palińskiego i Ettingera. Sklep zaopatrzony jest we wszystkie artykuły niezbędne w gospodarstwie domowym, a zasada ścisłej rzetelności i sumiennosci cen, obok doborowych gatunków towarów, na jakiej się oparł — zasada nieznaną dotąd w przedsiębiorstwach żydowskich — zjednała mu odrazu, tak w sferze inteligencji jak i wśród ludu, wielką wziętość. Dóść wspomnieć, że sklep chrześcijański w Brzezinach istnieje zaledwie parę dopiero miesięcy, że konkurencja żydowska, jak wszędzie tak i tutaj, nie śpi i nie zaniedbuje intrygi, a mimo to przecież targ dzienny sklepu wynosi przeciętno do 80-ciu rubli.

Cierpliwości tedy, a ludność polska pozbędzie się, łatwiej niż ktokolwiek przypuszcza, nałogu popierania handlu żydowskiego, gdy pozna swój — rzetelny. Do lat bo ostatnich, przyznać trzeba otwarcie, sposobności ku temu żadnej prawie nie miała. Nie bywało wszak sklepów innych, jeno same żydowskie.

Z Poznania. Urzędownie stwierdzono że w skutek wylewu Warty 8,000 osób w Poznaniu pozostało bez dachu i mienia. Cesarzowa niemiecka odwiedziła w tych dniach powodźnianą poznańską, darząc ich, obok pomocy materialnej, słowami serdecznego współczucia. Nową władczynią Niemiec ludność miejscowa przyjmowała i żegnała z entuzjazmem. Cesarz Fryderyk ofiarował na rzecz powodźnian 50,000 marnk, przeznaczając je głównie dla Połiśla.

Z prasy. „Izraelita“ warszawski, w ostatnim swym numerze, tak się skarży:

„...Czasy się zmieniły. Wytworzył się powoli i w chrześcijańskiej ludności stan trzeci, który już skutkiem lepszego położenia, już pod naciskiem wzmagającej się walki o byt, dawną wzgardę dla handlu jał zarzucać i coraz chętniej i tłumniej wszelkie jego gałęzie uprawiać.

„Wzrastająca tymczasem ludność żydowska po miastach, obok ciężących na niej jeszcze mnogich ograniczeń (jakichże to, jeżeli wolno zapytać? — p. r.), zapierających (!?) jej drogę

do tych i owych zajęć (?), obok także zmienionych zupełnie warunków bytu ekonomicznego, czyniących w wielu gałęziach pośrednictwo niepotrzebnem (aha!... p. r.) i t. d., nie mogła ona (t. j. ludność żydowska — p. r.) owego rosnącego wciąż współzawodnictwa coraz dotkliwiej nie odczuwać i coraz bardziej nie ubożać. Aż doszło do tego, że z wyjątkiem szczupłej (?) liczby rodzin zamożniejszych, cała milionowa rzesza tej ludności ujrzała się pozbawioną środków egzystencji i wydaną (przez kogo? — p. r.) na łup skrajnej nędzy.“

Co do onej jakoby „skrajnej nędzy“, sądzimy że „Izraelita“, jak zwykle, w pleniennym swoim strachu... przesadza; co się jednak tyczy „zmiany czasów“ i pojęć, ma on wszelką rację. Istotnie, kochany panie Jojna, i dla was przemija już wiek złoty; trzeba się uczyć — *uczyć pracować*, — u nas, czy... gdzieindziej, ale u c z y ł się trzeba. Przy tak zaś z m i e n i o n y c h (jeżeli w ogóle zmiana ta jest możliwą) waszych znowu pojęciach, Nalewki i Franciszkańska mogą wprawdzie dostarczać nam mniej prezesów banków, kolei i różnych stowarzyszeń, oraz mniej... teściów „zasymilowanych“ hrabiców, ale zato i owej „rzeszy milionowej“ może być nieco lepiej na tym, czy raczej w tym świecie niewdzięcznym, nie umiemy już widocznie oceniać tych d o b r o d z i e j s t w, jakimiście go przez tyle wieków obasytywali. Tak, tak, panie Jojna, wszędzie, a więc i u nas, mija dla was czas — złoty...

Sztuki plastyczne. Na wystawie artystycznej w Wiedniu, urządzonej dla upamiętnienia 40-letniego panowania cesarza Franciszka Józefa, znajduje się ogółem 1456 przedmiotów. Z dzieł artystów polskich zwracają na siebie szczególniejszą uwagę płótna Matejki, Kossaka i Siemiradzkiego.

Z teatru i muzyki. W teatrze Rozmaitości przedstawiono nową komedię p. Bałuckiego p. t. „Nowy dziennik“. W komedii tej szlachta jest głupią, a świat dziennikarski podłym. Pierwsze dziwić nie może, bo od tego p. Bałucki jest przecie znanym *trom-tadratą* krakowskim, czyli panem Bałuckim; ale dziwnem i ciekawem jest drugie — ciekawem tembardziej, że ów świat dziennikarski reprezentowanym jest przez obóz p o s t ę p o w y, do którego, jak wiadomo, sam autor należy. Wieszujemy również milego towarzystwa...

Jutrzejszy (niedzielny) poranek benefisowy p. Marczello zapowiada się świetnie, na co zresztą utalentowana artystka zasługuje w zupełności. Między innemi, benefisantka wypowie piękny wiersz niedziałowanego poety ś. p. Stanisława Grudzińskiego p. t. „Mieczyna troska“.

Nowe wylewy. Niebyszą kłeską powodzi dotknięta została osada Nowy-Dwór i jej okolice. Z górą 2,000 mieszkańców pozostało bez dachu.

Narew wylała w tym roku tak, jak tego najstarsi ludzie nie pamiętają. Dość powiedzieć że połowa miasta Pułtуска znalazła się pod wodą. Straty wszędzie ogromne.

Zmarli: Ś. p. Michał Grubecki, b. profesor szkół warszawskich, autor wielu prac pedagogicznych — zm. w Warszawie, przeżywszy lat 67.

Ś. p. Karolina z Tarnowskich hr. Tarnowska, żona Jana hr. Tarnowskiego, posła do Sejmu i Rady państwa, — pani wielce dobroczynna — zm. w Chorzelowie, w Galicyi.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

12 Kwietnia 1887 r.

Z rynków zbożowych, tak amerykańskich jak i europejskich, nadchodzą wiadomości o usposobieniu mocnem i ożywionej chęci do kupna. Istotnie, usposobienie takie ujawniło się wszędzie, nie wyłączając rynków najbliższ nas obchodzących, jak również i na naszych targach warszawskich.

Na p l a c u W i t k o w s k i e g o płacono pszenicę wyborową 6.85—7.10, średnią 6.50—6.65, ordynaryjną 6.00—6.10. Żyto wyborowe 3.90—4.00, średnie 3.65—3.75. Owies wyborowy płacono 2.70—2.80, gorszy 2.20—2.40.

Na s t a c y i P r a g a pszenicę wyborową płacono 112—116, średnią 105—110, ordynaryjną 98—101 kop. za pud. Żyto wyborowe 65—68, średnie 62—64, ordynaryjne 58—60. Owies wyborowy 70—73, średni 64—68, ordynaryjny 57—59 kop. za pud.

W handlu o k o w i t ą położenie rzeczy ciągle niezmiennione. W Hamburgu cena regulacyjna wynosiła w tych dniach 21 do 22 marek za 100 litrów. Na rynku warszawskim płacono za garniec w sprzedaży hurtowej 2.69—2.70, w detalicznej, jak zwykle, o parę popiejek wyżej.

Na rynku c u k r o w y m ruch bardzo słaby; za najlepsze marki za rafinadę płacono rs. 3, za kostki 2.00 do 2.93.

Na targu prazkim cena wołów stepowych podniosła się nieco; za dobrego wołu płacono 100 do 105 rs., czyli po rs. 2 kop. 90 do rs. 3 kop. 20 za pud żywej wagi.

Na rynkach żywnościowych drób i nabiał po Świętach staniały nieco.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. J. w O. — Stanie się zgodnie z życzeniem Sz. Księdza Dobrodzieja. Na przybiecane objaśnienie i protest przeciw oszczerstwu, o niegodziwości którego byliśmy zresztą z góry przekonani—czekamy.

Pani Karolinie P. w Warsz. — A tak sz. pani; bo stała i systematyczne, a bodajby nawet „namiętne atakowanie“ kierunku bezwyznaniowego i w ogóle materialistycznego jest jednym z głównych celów istnienia „Roli“. Miałoby się to sz. pani nie podobać?

Sz. ks. Aleks. Wysocki w Biłgoraju. — Redakcyi „Ogrodnika“ prenumeraty kwartalnej nie przyjęła, oświadczając że pismo to może być prenumerowane tylko rocznie albo półrocznie. Tym sposobem rs. 2 pozostaje do dyspozycyi Szanownego Księdza Dobrodzieja.

P. A. Myszkiewicz p. Główno w Ost. — „Rola“ jest obecnie opłaconą do 1 Lipca r. b.

Panu Bł. w K. — Wszelkich informacji dotyczących zakładania sklepów chrześcijańskich udzielamy najchętniej; musimy jednak wiedzieć o jakie mianowicie „składy polskie“ idzie?

Dr. J. w Warsz. — Jeszcze raz oświadczamy iż p. Ritter, przedstawił nam dowody urzędowe jako nie jest żydem. Czy sz. pan, razem z „Przeglądem Tygodniowym“, mógłby nam co do tego przedstawić fakta i dowody inne? Jeżeli tak to i owszem—prosimy. Tymczasem zaś nie mamy żadnej zasady do odmawiania p. Ritterowi pomieszczenia jego anonsów.

OGŁOSZENIA.

Do nabycia w Red. „Roli“ (5—5)

dzielko p. t.:

KONFERENCYE o głównych artykułach wiary katolickiej ze stanowiska liturgiczno-społecznego — miane do alumnów seminarjum w Wilnie, przez Ks. KITKIEWICZA. Cena kop. 75, z przesyłką pocztową kop. 85.

Następujące dzieła

Ks. J. GALICZA

są do nabycia we wszystkich księgarniach:

Muzyka Organowa z nut literalnych, czyli przegrywki ze wszystkich tonów na organy lub melodykon. Wilno. Cena w oprawie kop. 90.

Muzyka Kościelna zawierająca 6 mszy do grania na organy ze śpiewem i bez śpiewu (3 msze światłe i 3 żałobne) z nut literalnych. Wilno. Cena w oprawie kop. 75.

Pytania Katechizmowe na które każdy chrześcijanin katolik z łatwością odpowiedzieć powinien. Wilno. Cena kop. 12, z przesyłką kop. 16. (5—5)

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. **JUTY** i **WEŁNY** na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-15

i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Dla p. p. Właścicieli Lasów.

Zupełnie nowe urządzenia, taksacye, lustracyę lasów, oszacowania drzewostanów rębnych, sprzedać się mających, pomiary, uwalnianie od serwitutów, przeprowadza Technik leśny, egzaminowany, według najlepszych zasad teoretycznych i praktycznych pod gwarancją. Ewentualnie przyjąć może Zarząd lasów i Dóbr. Łaskawe oferty przyjmuje W-ny Kotakowski w Korytnicy—O. p. stacya Chęciny Drogi Żelaznej Iwangrodzko Dąbrowskiej. (6—3)

Dentysta Głogowski,

b. asystent D-ra Kobylińskiego,
Chmielna 35.

(4—1)
od 10 do 6. Sztuczne zęby, plombowanie.

FABRYKA i MAGAZYN

**WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA**

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

**Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portcigary — Woreczki i t. p.**
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

Magle pokojowe najnowsze systemu; można nabyć takowe i zarazem na miejscu wypróbować ich praktyczność, — jak również Maszynki nowe do kapslowania butelek bardzo łatwym sposobem. — Tanie, najnowsze systemu i najpraktyczniejsze Maszynki do masła różnych wielkości. — Najnowsze maszynki do siekania mięsa i wyżyłowania. — Taboreczki i Stoliki składane i t. p. różne wyroby, stosowne i praktyczne do gospodarstwa i użytku domowego.

Posiada na składzie.

Warszawska Fabryka Lodowni Pokojowych

pod zarządem:

J. KUCHTY

Piękna Nr. 30. (12—9)

Cenniki wysyłają się na żądanie gratis.

Krawiec (52—9)

M. CHMURCZYŃSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.

na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnowki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p. i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

**SKŁAD GŁÓWNY
HERBATY KARAWANOWEJ**

Moskiewskiego Domu Handlowego

B. KLIMUSZYN (6—3)

ul. Niecała Nr. 4.

Poleca wyborową Herbatę pakowaną w Moskwie w $\frac{1}{1}$, $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{4}$ i $\frac{1}{8}$ fun. oraz w pudełkach metalowych i drewnianych.

Czarną od rs. 1 kop. 60 do 3 rs.

Kwiatową od rs. 2 kop. 50 do 7 rs.

którą również nabywać można w znaczniejszych składach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi.

Fabryka wyrobów Platerowanych i Bronzowych

egzystująca od roku 1856

BRACI HENNEBERG

poleca wielki wybór tak przedmiotów **PLATEROWANYCH**, jak i **BRONZOWYCH**, złożonych i ciemnych. — Zaznaczyć przytem winniśmy, iż wobec zagranicznych bronzów, nasze wszelką konkurencyę wytrzymują, są bowiem o wiele solidniej wykończone, a ceny stosunkowo niższe. — Upraszając o łaskawe zwrócenie na to uwagi, polecamy

Plac Teatralny Nr. 11. (26—21)

Magazyny: Róg Trębackiej i Krakowskiego-Przedmieścia

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.

Cenniki na żądanie wysyłają się franco.

Jedyna specjalna Fabryka Ozdób Kościelnych

Karola Szonert (52-17)

w Warszawie. — Leszno Nr. 62.

J. SZTENGEL

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.



Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu. 6-3

TADEUSZ KOWALSKI i A. TRYLSKI

Warszawa, Miodowa Nr. 4,

polecają:

Nasiona Roślin pastewnych i okopowych w wyborowym gatunku, jakoto: Marchew, buraki, żab koński, lucernę etc., oraz wszelkie trawy wypróbowanej dobroci.

Cenniki na żądanie wysyłamy. (3-3)

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankiety damskie i dziecinne, Chustki płócienne batystowe, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dziecinne, Kamusze wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich!!!

MAGAZYN BIELIZNY MĘZKIEJ

A. KIERST i S-ka

5. Bielańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi skuteczniamy odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie.

26-25

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH

J. WĄGROWSKIEGO
w Warszawie

Długa Nr. 27 (25) vis-à-vis Hotelu Drezdeńskiego.

Zaopatrzone w wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych z najpierwszych fabryk, — a także posiada znaczny zapas gotowej garderoby po cenach umiarkowanych, a mianowicie:

Palta zimowe	od rs. 22	Spodnie	od rs. 5
Garnitury marynarkowe	„ 22	Kamizelki	„ 2.50
Surduły wizytowe	„ 20	Burki Sławuckie	„ 22
Garnitury tużurkowe	„ 28	Szlafroki	„ 12

oraz wielki wybór kamizelek sztuczowych od 3 do 12.

Wszelkie obstalunki wykonywają się na żądanie w ciągu 24 godzin.

62



Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.
MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług najświeższych żurnali (13-2)

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-14)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA, (52-18)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

KRÓLOWIE POLSCY

dla młodzieży, poczet z 43-ch portretów litogr. podług rysunków T. Malesszewskiego, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roli“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmłodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—30

Główny Skład Wyrobów Tabaczných

Hurtowy i Detaliczny

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

Poleca:
wielki wybór cygar, tyto-
niu i papierosów, z wszyst-
kich fabryk russkich i
miejscowych, oraz gilzy
własnej fabryki, z pra-
wdziwej francuzkiej „bibu-
ki „ABADIE“.
Dla P.P. Handlujących
odstępuje towar na
najkorzystniejszych
warunkach.
Wszelkie objaśnienia
na żądanie franco.
(10-10)

TANI POLSKI Magazyn Bławatny

W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64.

Resursa Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publiczności wielki wybór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

Pół wełny od 13 kop. do 35.

Materyały czysto wełniane podwójnej szerokości, po kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

Materyały czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70 do rs. 1.50.

Kaszmiry czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

Korty na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

Velvety czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na składzie po cenach niskich.

Korty na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

Płótno Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za pół sztuki.

Bielizna stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Magazyn posiada wielki wybór **Perkali** białych, **Półpłótna**, **Madapolamów**, **Drelichów** kolorowych, **Firanek**, **Kołder** pikowych białych i kolorowych i kołder wełnianych.

12—4

N A S I O N A (6—4)

świeżo sprowadzone, polecają
ESTREICH i PODBIELSKI
Warszawa, Miodowa Nr. 19.



SKŁAD WIN (24—6)

J. Lijewskiego i S-ki

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwintny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — znopatrzyłem piwnice w czyste i wystale wina Węgierskie, odpowiednie do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuzkie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

SKŁAD MEBLI 13-6

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.



FABRYKA I SKŁAD
Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,
stalowych, oraz Bandaży.

F. Balukiewicza 26—23
W WARSZAWIE
Białeńska Nr. 9, Hotel Paryżki.

Treść numeru : Lichwiarze warszawscy. (Szkice z życia) V. — Szłoma z Rozdołów, przez Wincentego hr. Łosia. — Na wyspie Zelandy; z notat podróznego przepisał St. Piast. — Francya żydziła (d. c.) — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku : „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.)

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою. — Варшава 31 Марта 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)